

Fred. M. Withe.

# Szkarłatna orchidea

Przekład J. S.

Przy boku Angeli siedział przy stole młodzienc, który całą uwagę jej poświęcał, ona jednak myślami i wzrokiem była przy innym — tym innym zaś był opodal siedzący młody człowiek wysokiego wzrostu, o rysach nie pięknych, ale bardzo sympatycznych. Koło mocno zarysowanych, energicznych ust, błąkał się wyraz nadzwyczajnej energii, uśmiech ich nieraz był wprost zniewalający.

— Czy to nie Penvers? — zapytał sąsiad Angeli. — Sądziłem, że przepadł gdzieś w puszcach Armenii. Pani pewnie bardzo się cieszy, że go pani znów tu ujrzęła, Angelo — zwrócił się do dziewczyny.

— Bardzo, panie Arnol! — odparła chłodno. — Pozwoli pan jednak, że zwrócę panu uwagę, że nie lubię, by mnie po imieniu nazywano. w tej chwili mniej, niż kiedykolwiek.

Pan Arnol, człowiek małego wzrostu, o nosie zakrzywionym i blade niebieskich oczach, przyszytych wargi. Uwaga ta obeszła go tem więcej, że konkury jego popierał sir Frobisher, z powodów jemu tylko wiadomych.

Skoro powstało od stołu, rozprószyli się goście w małych grupkach. Panowie przeszli do gabinetu do palenia, panie przeważnie udały się do oranżeryi.

Angela wnet uwolniła się od swego sąsiada i schroniła się do cichego pokoju sąsiedniego. Wsparła o poręcz balkonu, marzyła o tem, jak przed rokiem poznała, co to jest miłość.

— Dziś zaświeciła mi gwiazda szczęścia — usłyszała głos po za sobą. — Instynktownie odgadłem, że cię tu spotkam, Angelo — dodał z wzrastającą namiętnością. — Jakżeż jestem szczęśliwy, że znów jestem przy tobie!

Angela obie ręce mu podała. Delikatny rumieniec okraślił jej miłą twarzyczkę, a kłoby był widział siłę uczucia, jaka się odzwierciedlała w jej oczach, nie byłby jej uważał za naturę zimną, jak o niej powszechnie mniemano.

— Czyś zawsze ta sama, Angelo? — pytał Denvers. — Czy nikt mego miejsca nie zrabował?

— Nikt! — odparła z błogim uśmiechem. — To się nigdy nie stanie! Wprawdzie wówczas nie chciałem, bym się słowem wiązała, nie pisałem też do mnie, ani powiadomiłem mnie o miejscu pobytu, jednak pozostałam ci wierna i o tem wiedziałeś. Jeślibyś ty jednak się zmienił, straciłabym wszelką wiarę w ludzi.

— Gdybym ja się zmienił? — powtórzył Denvers z wyrzutem — Czyż byłoby to możliwe, moja najdroższa? Nawet nie przeczuwałem, co się ze mną działo, gdy cię dziś zobaczyłem. Ty moja, ty królowo mego serca! Och gdybym cię mógł przed światem całym nazwać moją!

Pociągnął ją ku sobie, a ona nie bronila się wcale, kiedy ją pocałował namiętnie.

— Czyż nie możnaby sądzić, że czas stanął na cały ten rok? Czy pamiętasz, jak w ów wieczór sir Clemens zastał nas razem? Mnie, syna człowieka, którego on zniszczył, z tobą, swą bogatą, piękną wychowanicą! Nic wtedy nie rzekł, lecz tylko roześmiał się na swój zwykły, dyabelski sposób. Wnet potem ofiarowano mi miejsce w Armenii. Nie przeczuwałem, że czyjem to się stało wstawiennictwem, dziś jednak wiem, że sir Clemens miał nadzieję, że już nigdy nie powrócę!

Angela spojrzała nań przerażona.

— Haroldzie! Nie przypuszczasz chyba, że...

— Nie śmiesz tego wypowiedzieć — przerwał Denvers. — Istotnie, pięknie to nie brzmi. Jedno życie tak mało znaczy i gdyby mnie byli zamordowali w Armenii, cóżby to było? Mówmy lepiej o innych rzeczach.

— O twoich przygodach i podróżach — zgodziła się Angela. — Czy i tam znalazłeś niezwykłości takie, jak na wyspie Borneo? Skąd masz tę cudną orchideę?

Denvers miał w kłapie surduta biały kwiat, ponad którym jakby obłok maleńkich owadów, drgały mniejsze. Była to szkarłatna orchidea.

— Czy nie cudowna? — odparł. — Ma ona

swą romantyczną historię, ale teraz nie mogę ci jej opowiedzieć. Cóżby sir Clemens dał za posiadanie jej!

— Daj mi ją — prosiła Angela. — Chciałabym mu ją pokazać. On sam posiada jakiś nadzwyczajny kwiat, który jutro mam zobaczyć, ale myślę, że tamten ani przez pół nie jest tak piękny, jak ten. Oczywiście nie powiem mu, skąd go mam.

Bez wahania Denvers wyjął z butonierki kwiat i przypiął go do pęku orchidei, które już Angela miała przy sukni.

— Szczególne mam uczucie, gdy widzę ten kwiat u ciebie — rzekł zamyślony. — Dreszcz mnie niemal przebiega na jego widok i pewnie byś go nie nosiła, gdybyś przeczuwała, ile zbrodni popełniono w związku z tą szkarłatną orchideą.

— Opcwiesz mi to innym razem — odparła Angela. — Dziś chciałabym słyszeć tylko o tobie, czy masz teraz jakie widoki na przyszłość?

— W tej chwili są one jeszcze mgliste, bądź co bądź jednak rokuje mi moje następne przedsięwzięcie, które nie będzie zależne od sir Frobishera, dwie korzyści. Wprawdzie dużo jest jeszcze do zrobienia, dlatego muszę pozostać teraz w Londynie przynajmniej trzy tygodnie. A ty?

— My zostajemy do końca sezonu. Ciotka moja pojechała w odwiedzinach do krewnych, dlatego sama tu dziś jestem. Jeśli będziesz grzecznym, wolno ci będzie odwiedzić mnie w domu, Haroldzie. Musimy się częściej widywać. Czuję się bardzo samotną.

— Ach, gdybym cię mógł z sobą zabrać! Dla ciebie chciałbym, by plany moje się powiodły. Gdyby się udały, mógłbym mieć co najmniej tysiąc funtów rocznego dochodu. Czy wystarczyłoby ci to, Angelo?

— O, mniej znacznie wystarczyłoby! — odparła z uśmiechem. — Zresztą kiedyś i ja będę mieć duży majątek. Ale późno już. A jestem już bardzo zmęczona. Postaraj się o powózek dla mnie, ja tymczasem pożegnaj się z lady Marchgrave.

Kiedy Angela wróciła do domu, usłyszała, przechodząc koło sali jadalnej, żywe głosy, stamtąd dochodzące. Z tego wywnioskowała, że wuj jej zapewne urządził jedno ze swych ulubionych przyjęć dla panów. Skierowała tedy kroki swe ku cieplarni, by tam przechować swój bukiet orchidei. Skręcając w boczny korytarzyk, spostrzegła jakąś postać mężczyzny, który rozglądając się trwożliwie, zdążył do cieplarni. Angela podążyła za nim, by się go zapytać, czego pożąda. Skoro jednak weszła do oranżeryi, mężczyzna ów zniknął.

Dziewczyna stanęła zdumiona. Gdzie mógł się podziać nieznajomy? Przecież jedno tylko było wejście do cieplarni. Jeszcze stała zdumiona i niezdecydowana z orchideami w ręku, kiedy zjawił się koło niej Armeńczyk Hasid.

— Spalcie ją! Zniszczcie ją! — mamrotał głosem zaspianym. — Czy zechce milady pójść na spoczynek? Niech pani tutaj nie zostaje, to miejsce jest przeklęte! Niech pani zniszczy te kwiaty! Ach, w głowie mi się mąci! Na brode proroka, chciałbym, bym się nigdy nie rodził!

Sir Clemens, jak słusznie przewidywała Angela, urządził biesiadę dla panów. Przed południem, kiedy był obdarzył siostrzenicę swą kwiatami, zjawił się u niego hrabia Lefroy na drugie śniadanie. Był on oficerem kawalerii, od lat w służbie emira Afganistanu, gdzie dowodził wyprawami wojennymi przeciw wrogim szczerpom Kurdów, Obecnie bawił w Anglii w tajnej misji.

Jego sekretarz, Manfred, który mu wszędzie towarzyszył i teraz z nim przybył na śniadanie, uchodził za człowieka niemal tępego, a to z powodu usposobienia milczącego i zamkniętego w sobie. Na jego bladej twarzy trwał wieczny wyraz dziwnego spokoju, szare, martwe oczy pozbawione były zupełnie wyrazu, cała postać nosiła znamię kompletnej obojętności.

— Chciałbym omówić z panem kwestię kolei żelaznej w Kurdystanie — zwrócił się po wstępnym przywitaniu gospodarza Lefroy, zapalając cygaro.

— Przypuszczałem to — odparł Frobisher ze skrytym uśmiechem. — Pan chciałby naturalnie uzyskać koncesję dla Anglii? Może ją pan już nawet przyrzekł swemu rządowi.

— Słusznie! — przerwał Lefroy. — A pan?

— Mnie zależy na tem, by ją otrzymała Rosya. Przed dwoma laty starałem się przekonać nasz

rząd do tego interesu, jednak nie chciał o niczem słyszeć.

— To znaczy innemi słowy, że rząd nie miał zaufania do pana.

Drwiący uśmiech przebiegł po twarzy Frobishera.

— Bał się zaufać mi. Bezsprzecznie, kto zna moje grzechy, byłby głupim, gdyby to uczynił. W tej materii byłem jednak bezwzględnie uczciwym, albowiem leżało to w moim własnym interesie. A więc wycofałem się z tego terenu, ofiarowałem jednak natychmiast moje usługi Rosyi. Teraz pan staje mi w drodze i stara się popsuć mi szyki.

— Niech pan nie zapomina, mój przyjacielu — przerwał Lefroy — że ta historia przyniesie pół miliona.

— Wiem o tem — przerwał Frobisher. — Ale nie jesteś pan jeszcze zwycięzcą, gdyż nie pan zrobić nie możesz dopóty, dopóki pan nie zyska dla swych planów chana Kurdystanu. Tylko przez niego można uzyskać koncesję. Na szczęście jestem z nim w doskonałych stosunkach, dziś wieczór będzie on nawet moim gościem.

Lefroy drgnął lekko, poczem rzucił świdrudrujące spojrzenie z pod brwi ściągniętych na swego rywala. Frobisher z całym spokojem palił fajkę, ciągnąc dalej:

— Tak, dziś wieczorem będzie u mnie, aby zobaczyć moją kolekcję orchidei. Cieszyłbym się, gdyby pan wraz ze swoim sekretarzem także przybył zechciał. Ten mały władca afrykański ma szczególne zamiłowanie do orchidei. Czy pan pamięta jeszcze, drogi panie, jak bliscy byliśmy do osiągnięcia szkarłatnej orchidei? Teraz już jej zapewne nigdy nie znajdziemy.

— Gdybym miał szczęście — wpadł mu w słowo Lefroy — to pańskie widoki co do kolei żelaznej byłyby zniweczone, gdyż przez szkarłatną orchideę pozyskam sobie łatwo chana. Lecz trudno, orchidea ta nie istnieje już wcale.

— A ja stawiam w zakład sto przeciw jednemu, że jeszcze istnieje — odparł powolnie Frobisher.

Lefroy zerwał się, rzucając spojrzenie pełne przerażenia i gniewu na swego sekretarza, który rozmowie tej przysłuchiwał się na pozór obojętnie, poczem głosem zachrypniętym zapytał:

— Co, co pan przez to rozumie, panie Frobisher?

Sir Frobisher powstał i w milczeniu poprowadził swych gości do cieplarni.

Ot, tam, widzi pan, w trzecim rzędzie u góry — rzekł, zatrzymując się. — Moja ty królowo, oto jeszcze jeden wielbiciel przyszedł cię odwiedzić.

Lefroy spostrzegł odrazu zwisające różowe kwiaty o koronach szkarłatnych.

— Szkarłatna orchidea! — wybełkotał z trudem. — Tak, to ona!

— Tak jest, szkarłatna orchidea! — potwierdził z dumą Frobisher. — Bardzo niedawno dopiero jest w mojem posiadaniu. Jej widok będzie miłą niespodzianką dla mego przyjaciela, chana Kurdystanu.

Lefroy gniewnie przygryzł wargi. Z trudem zdołał się opanować.

— Czy można ją obejrzeć z bliska? — zapytał w tonie niegrzecznym.

— Naturalnie. Oto drabina. Ale niech pan będzie ostrożnym, ażeby się pan nie zawikłał w sznury i pasy.

Długo nie mógł się Lefroy oderwać od tych kwiatów, które wzbudziły w nim zachwyt i zazdrość zarazem.

— Prawdziwa szkarłatna orchidea! — rzekł, wróciwszy do Frobishera. — Skąd jednak znajdują się na niej ślady krwi? Kto ją panu przyniósł?

Frobisher wzruszył ramionami.

— Krew jest arterią życia tej rośliny, a skąd ją mam, to moja tajemnica. No, mój drogi panie, jakżeż wygląda teraz pańska sprawa koncesyj kolejowej?

Hrabia spojrzał na przeciwnika podejrzliwie i odparł:

— Na pozór pan wygrał, ale jeszcze w ręku pan nic nie ma. Czy pan jest tak pewnym swego, że mi pan skarb swój pokazuje?

Frobisher roześmiał się tylko złośliwie w odpowiedzi. Rozczarowanie i wściekłość współzawodnika napawała go radością.

(Ciąg dalszy nastąpi).